

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



S. Matusiak.

Koń w naszych wierzeniach ludowych.

W tych samych stronach powiadają, że gdy panuje zaraza na bydło, mianowicie księgosusz, potrzeba łbem końskim okadzić oborę, obchodząc ją po trzykroć, a potem niedopalone szczątki łba zakopać przed wrotami obory¹⁾. W Sieradczyźnie wierzą, że w szkielecie ko-bylej głowy mieści się szczęście i dobrobyt, kto więc taki szkielet posiada, zawiesza go w ogrodzie²⁾. W parafii Kijach (Kieleckie), gdy kapustę zasadzą, a ta się przyjmie i pięknie wygląda, starają się, żeby gdziekolwiek wy-naleźć koński łeb, a znalazłszy, stawiają go na kółku tak o pół łokcia od ziemi, aby przechodzień mógł go wpieryw zobaczyć, ani-żeli piękną kapustę, gdyż inaczej wejście przechodnia mogłoby wywołać urok i zaszkodzić kapuście³⁾. W stronach tych zwykli tak-że przy zatykaniu na kiju czaszki końskiej od-mawiać takie zamówienie:

Żli ludzie, zaciekli,
By nam kapustę nie urzekli,
Trza, byśmy ją opatrzyli,
Zdechłego konia łbisko postawili⁴⁾.

Podług A. Marcinkowskiego zwyki był lud i na Ukrainie wieszać łby końskie na kółkach płotu warzywnego ogrodu¹⁾. Rzecz ciekawa, że mieli ten zwyczaj i Rzymianie, jak świadczy Historia naturalis Pliniusza (IX, 10), z czego możnaby wnioskować, że ten zwyczaj zawieszania końskiego łba w ogrodzie przyszedł do nas dopiero z kulturą zachodnią, ale pewności co do tego mieć nie można, gdyż na podstawie tych samych wyobrażeń powstają u różnych ludów te same zwyczaje niezawisłe od siebie, a u Rzymian, podobnie jak u Greków, Celtów, Germanów i Słowian, był koń zwierzęciem, mającem bliską styczność z bogami. W okolicach górnej Wisły i Skawy włóścianie nie wtykają wprawdzie czaszek końskich na płoty, ale je kładą w stajniach pod żłobami dla zachowania zwierząt od zarazy. Przypisują więc czaszce końskiej moc, ochraniającą zwierzęta domowe, a mianowicie rogaciznę, od chorób zaraźliwych. Nie z innej zapewne przyczyny sąsiedzi ich z drugiego brzegu Wisły zatykają te czaszki na kółkach płotów...²⁾

W Radzyńskim mniemają, że doskonałym środkiem na suchoty są trzewia świeżo zabitego konia, więc gdy jeszcze ciepłe, chorey siedzi w nich godzinę i więcej³⁾.

¹⁾ O. Kolberg. Chelmskie, II, 212.

²⁾ Lud, IV, 419.

³⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajo-wej, III, 12.

⁴⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajo-wej, III, 5.

¹⁾ A. Marcinkowski (Nowosielski). Lud ukra-iński, I, 55.

²⁾ Biblioteka warszawska r. 1841, str 499.

³⁾ Lud, XII, 266.

We wsi Rudawie pod Krakowem mają złodzieje zawieszać na płotach końskie łby i po tym znaku dowiadywać się, gdzie który mieszka¹⁾. Ponieważ nikt nie chce uchodzić za złodzieja, choćby nim istotnie był, więc rzecz całkiem widoczna, że tutaj ktoś, komu zależało na tem, ażeby lud porzucił pogański zwyczaj zawieszania końskich łbów na płotach, naumyślnie rozpowszechnił między ludem to mniemanie, że tylko złodzieje to czynią, chcąc wiedzieć między sobą, gdzie który mieszka...

Nawet to, co się z koniem stykało tylko i przez to nabrało jego świętości, uchodziło za środek leczniczy: a więc takie rzeczy, jak uzda, chomać, podkowa końska, gnój do kopyta końskiego przywrzaly i t. p.

Otóż jeżeli kto jest lunatykiem i po nocy chodzi, a chce się go z tej biedy wyleczyć, trzeba go bić uździenicą, gdy chodzi, i wołać: „A na miejsce! na miejsce!“²⁾

Chomać, świeżo z konia zdjęte, jest pono wyborym środkiem na różne choroby, trzeba je tylko trzy razy z góry na dół po sobie przesunąć³⁾. Dobrze jest chomać także na urok, trzeba się niem tylko trzy razy przeżegnać⁴⁾.

A wiadomo powszechnie, nie tylko u nas ale i w Niemczech, jak wielkiem jest szczęściem znaleźć podkową końską.

Podług naszych Mazurów w Prusach wschodnich podkowa, znaleziona i przybita gwoździami na progu tak, żeby końcami była zwrócona na zewnątrz, przynosi szczęście; do kupca sprowadza gości i bogatych nabywców⁵⁾. Lud w okolicach Żarek, Siewierza i Pilicy przybija po wybudowaniu chaty na progu podkową, ażeby się szczęśliwie wiodło w gospodarstwie⁶⁾. Na Mazowszu zaś radzą na progu chaty przybić podkową dla ochrony mieszkańców domu od uroków i czarownic⁷⁾. W okolicach Czerska, chcąc odwrócić czary od krów, leją mleko na rozpaloną podkową⁸⁾. Koło Brzozowa w Galicyi, gdy zbliża się niebezpieczna chmura, zakopują w polu podkową dla zabezpieczenia się przed gradem⁹⁾. W Woli Batorskiej, w powiecie bocheńskim, jeżeli się mleko zakrwawi, leją je na rozpaloną podkową, znalezioną poza granicą wsi, a dziobiąc ją końcem sierpa, wo-

lają: „Żebyś pękła, żebyś się spaliła“ i t. d. Wyszedłszy potem na pole i napotkawszy ropuchę, biją ją starą nieużywaną już miotłą¹⁾. U Huculów składa się znalezioną podkową na podwórzu, bo gdy byłoby przez nią przechodzi, zabezpiecza się przed zarazami²⁾. Zwyczaj przybijania podkowy na progu domu znany jest i na Ukrainie³⁾. Nawet po naszych miastach, nie wyłączając wielkiego Lwowa, napotyka się nierzadko dotąd na progach sklepów i sklepików przybite podkowy końskie, ba! nawet ludzkie podkówki do butów, bo ludziska z czasem zapomnieli o tem, że tylko podkowy końskie mają przywilej ochrony przed złem i pomocy do szczęścia, więc tak podkowy końskie jak i ludzkie na progach przybijają.

A w Łopuszce Małej koło Kańczugi i Przeworska w Galicyi wróż Marcin Czepiel takie podał lekarstwo na suchoty. Koń podkuty ma mieć pod podkową ten sam gnój przez dziewięć dni. Po tym czasie należy puścić konia na drogę, żeby cwałował, chory zaś ma biegnąć za nim i gnój, który wypadnie z pod kopyta, pochwytać w powietrzu, a potem gnojem tym zolała członki obłożyć⁴⁾.

2. Dyabelstwo.

Ponieważ z nastaniem chrześcijaństwa dawny bóg zeszedł do roli dyabła, więc jego ulubieniec, koń, *ipso facto* musiał zostać zwierzęciem, które z dyablem ma najbliższe stosunki.

Jakoż wierzenia, które wśród ludu dotąd przechowały się, wskazują, że takie wyobrażenie o koniu istotnie powstało.

Krawcowi z Czeladzi w powiecie będzińskim ukazał się raz topielec, jak wiadomo, nieczysta moc wodna, ale w postaci konia⁵⁾. W Żywiecczyźnie zaś rozpowiada lud, że dyabeł może przybrać i postać ludzką, ale w takim razie przynajmniej nogi pozostają końskie⁶⁾, a z końskimi nogami wyobraża sobie dyabłów i lud słowacki⁷⁾. W Lubelskiem znowu wierzą, że gdzie się koń tarza, po tem miejscu nie można przechodzić, a zwłaszcza bosą nogą, bo kto to uczyni, może dostać okropnych boleści żołądka, a na nogach i rękach broda-

1) Wisła, V, 650.

2) Lud, X, 358.

3) Lud, X, 358.

4) Lud, XII, 266.

5) Wisła, VI, 400—1.

6) M. Federowski. Lud okolic Żarek etc., II, 275.

7) O. Kolberg. Mazowsze, 60.

8) A. Kozłowski. Lud, 378.

9) Lud, X, 355.

1) Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, V, 161.

2) Lud, II, 204.

3) Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, III, 119.

4) O. Kolberg. Przemyskie, 237.

5) Lud, XI, 312.

6) Lud, V, 365.

7) Zob. Dobęński Pavol. Prostónarodnie slovenské povesti 4², 27.

wiek¹⁾, co oczywiście nie mogłoby nastąpić, gdyby w koniu nie było mocy nieczystej, mocy dyabelskiej. To też Huculi na Pokuciu wyraźnie twierdzą, że koń jest zwierzęciem, dyabłu specjalnie poświęconem²⁾, i nic dziwnego, że u nich, jak się komu śni koń, sen taki zwiastuje burzę³⁾, boć przecież wiadomo, że z wiatrami i burzami chodzą dyabły. Całkiem podobne wieści krążą o koniu i na Ukrainie wśród ludu. Podług jednej z nich wół i osioł okryli Dzieciątko Jezus słomą, lecz koń przyszedł i słomę pożarł, stąd podlega on mocy dyabła, który nocami lubi na nim jeździć⁴⁾. Druga wieść stwierdza fakt, że dyabeł lubi nocą na koniu jeździć i wskazuje, jak sobie radzą wieśniacy, żeby od takiego dyablego męczenia zwierzęta te ochronić: oto zabijają srokę i wieszają w stajni; dyabeł wtedy męczy srokę zamiast koni⁵⁾. Ta zabita i powieszona w stajni sroka to niezawodnie ofiara, złożona dawnemu bóstwu, które, widząc w tem dla siebie dawną przychylność, idzie męczyć konie tych, którzy go już uznawać nie chcą. Ale mniejsza o znaczenie tej sroki, nam dość wiedzieć w tej chwili że dotąd jeszcze przechowują się wśród naszego ludu wyobrażenia, które wskazują wyraźnie za co uchodził koń u nas za czasów pogańskich, a do jakiej roli zejść mu przyszło za czasów chrześcijańskich.

Ale na tej zmianie czasów i stosunków koń, zdaje się, źle nie wyszedł. Prawda, że teraz honoru ubyło, że podejrzenie o stosunki z dyablem nie przynosiło zaszczytu, ale koń, jak dawniej o swym zaszczycie, tak teraz o swej degradacji nic nie wiedział i nie przynosiło mu to żadnej szkody, bo jeżeli dawniej w codziennym życiu miano dla niego jakie względy z powodu jego stosunku do bóstwa, to teraz niemięjszy spotykał go respekt z powodu stosunku do dyabła. Stratę oczywistą ponosiły teraz tylko te osobniki końskie, które za pogaństwa spełniały służbę przy świątyniach, używane do wróżb i do owych boskich wycieczek nocnych, bo takiego rajskiego życia za chrześcijaństwa już mieć nie mogły; pewną stratę w powodzeniu poniosły może i owe stadniny końskie, które hodowano, żeby z nich owe osobniki święte wybierać: ale ogół koński z nastaniem chrześcijaństwa wiele nawet zyskiwał, przedewszystkiem już dlatego, że odtąd ustawało to, co za czasów pogaństwa obok zaszczytu przynosiło największą szkodę. Bo to pięknie było

nazywać się ulubieńcem najwyższego bóstwa, ale jak każda *noblesse oblige*, tak i ta nie była bez cierni. Ponieważ koń był wielkim ulubieńcem najwyższego bóstwa, więc też i ofiara, złożona z tego zwierzęcia, była mu najmilszą, a skutkiem tego najpiękniejsze osobniki końskie (boć byle z czego nie godziło się składać ofiary bogu) szły corocznie w wielkiej liczbie na śmierć w pełni życia i zdrowia. Prawda, że z takiej ofiary tylko niektóre części, najmniej zresztą cenne, jak głowa, nogi, płuca i trzewia, szły na właściwą ofiarę, a resztę mięsa składający ofiarę gotowali i zjadali, ale jakże stąd korzyść dla konia? Życie tracił, a co się z jego ciałem po śmierci działo, było dla niego rzeczą obojętną. Chrześcijaństwo wszelkich ofiar zabroniło, a tem bardziej końskich jako ulubionych. Kościół poszedł pod tym względem tak daleko, że wogóle zabronił jadać końskiego mięsa, podejrzewając widocznie i słusznie, że jeżeli kto zabije na mięso konia zamiast innego zwierzęcia mniej kosztownego, to niewątpliwie chodziło mu nie tylko o mięso, ale i ofiarę. W Niemczech musiano nawet nałożyć ciężkie kary, żeby ludność od zabijania koni i jedzenia końskiego mięsa odzwyczaić. U nas było z tem niezawodnie nie mniej trudności i zakaz musiał być bardzo surowy, skoro zupełnie zaprzestaliśmy używać końskiego mięsa i dotąd go nie jadamy. A kto wie, czy i owe wieści o powinowactwie konia z dyablem nie dlatego właśnie przetrwały dotąd, że je długi czas naumyślnie szerzono, aby ludności pożywanie końskiego mięsa obmierzić. Koń więc, zdaje się, nieźle wyszedł na chrześcijaństwie, zwłaszcza że dało ono początek i towarzystwom opieki nad zwierzętami, ale pono i my nieźle wyszlibyśmy na tem, gdybyśmy znowu wrócili — wprawdzie nie do ofiar z koni, ale do jedzenia końskiego mięsa.

3. Odwieczne praktyki.

Czytaliśmy w „Ziemi“ w nr. 1 1912 r., że we wsi Błoszczyńcach na Ukrainie wprowadzają w Nowy Rok do dworu, tudzież do domów zamożnych gospodarzy, żrebca przystrojonego w chustki, wstążki i pasy kolorowe, a rzucając ziarna pszenicy, gryki, powiadają: „Peń się żyto, pszenica i wszelkie zboże!“ A tak samo ma się rzecz i gdzieindziej na Ukrainie, z tą jednak różnicą, że gdzieindziej zamiast konia wprowadza się wołu ze złocnymi rogami i przynosi się tak zwany raleć, jak to podał zasłużony niemało dla naszej etnografii E. Rulikowski¹⁾. Gdzieniegdzie

1) O. Kolberg. Lubelskie, II, 129.

2) Lud, XIII, 126.

3) O. Kolberg. Pokucie, III, 159.

4) Lud, II, 324.

5) A. Marcinkowski, I. c., II, 136.

1) Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, III, 125.

na Ukrainie nie wprowadzają do mieszkań ani konia, ani wołu, lecz wójt lub dziesiętnik na wsi, a gumieny we dworze, albo też chłopcy wiejscy obiegają chaty, plebanie i dwór, a ciskając do izby garść zboża, wołają:

Rody, Boże, żyto, pszenicu
I wszelakuju przeńnicu¹⁾.

¹⁾ O. Kolberg. Chelmskie, 119.

C. D. N.



Maryan Wawrzeniecki.

Daliborka w Pradze Czeskiej.

A. D. 1881 w Krakowie młody Czech Franta Slaby, podówczas kolega mój, uczeń Jana Matejki, obecnie dzielny rodzajowy malarz

czeski, śpiewał na podstryszu u ś. p. Kazimierza Wolskiego przy ul. Grodzkiej pieśń ludową o rycerzu Daliborze i szeroko opowiadał o baszcie „daliborką“ zwanej.

Jako polski artysta i badacz długie lata czekać musiałem aż „mama“ pozwoliła mi 1907 r. zjechać do Pragi Czeskiej i zwiedzić ową wieżę „daliborkę“.

*

Rycerz Dalibór z Kozojed to „ludowiec“ czeski z XV wieku. Wzięty do niewoli i skazany na śmierć głodową osadzony był w wieży zamku praskiego, z głodu jednak nie umarł, ścięty bowiem został na małym placu przyłączonym do wieży. Podczas przebywania w więzieniu grał na skrzypcach czarował mieszkańców Pragi, którzy nadciągali pod wieżę tłumnie.



WIEŻA „DALIBORKA“ W PRADZE CZESKIEJ.

rys. M. Wawrzeniecki.

Wieża „daliborka“ wraz z niedaleką wieżą „czarną“ leżą w części Hradczyna, należącej do „starosty grodowego“. Wieże te, pochodzące z 1555 r., służyły za miejsce kaźni, sądu i męki dla przestępców „politycznych“ aż do XVIII wieku włącznie. Urządzenie tych wież, będących pierwowzorem naszych „Dorotek“, wydało mi się tak interesującym, iż na miejscu w Daliborce porobiłem szkice planów, które obecnie w „Ziemi“ publikuję.

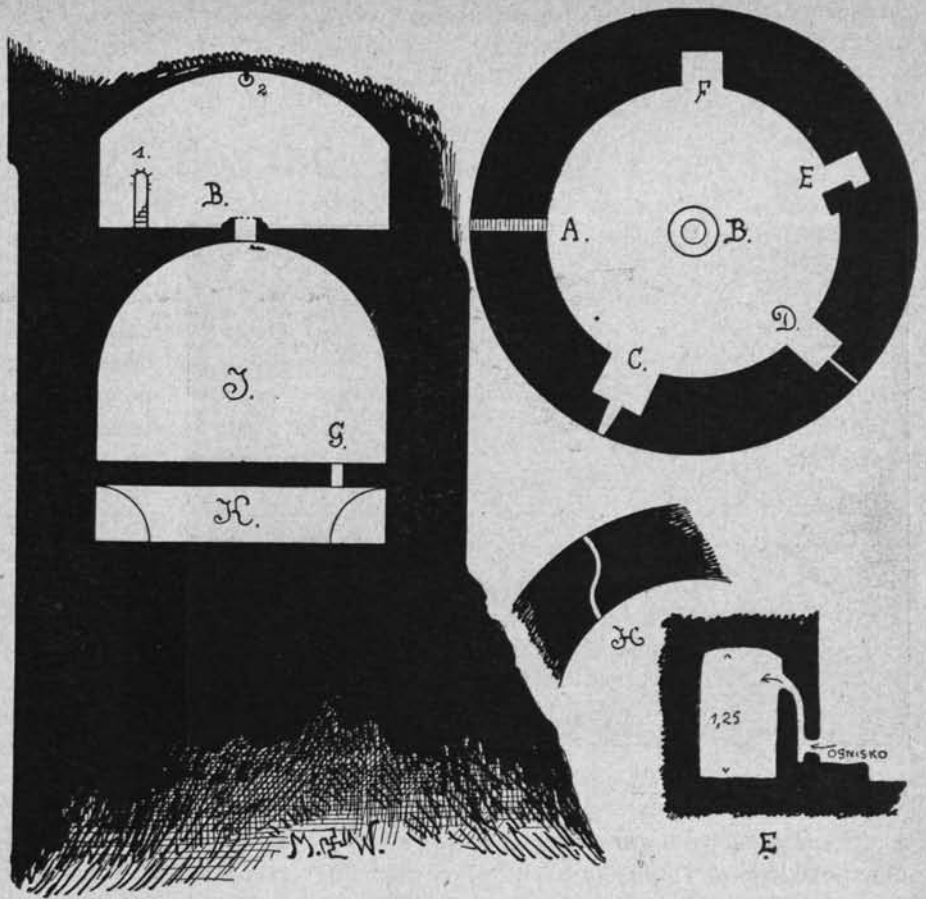
Wprost z dziedzińczyka „starostwa“, mając z tyłu wieżę „Czarną“, dostajemy się do wnętrza „Daliborki“ przez wąziuchne schody Nr. 1 A. Znajdujemy się w sali B z otworem B i blokiem 2;

przez otwór ten opuszczano skazanych do lochu I. Sala B ma wejście A (1) oraz w grubości murów ciosowych 4 wgłębienia, które służyły za cele więzienne. Cella C, 1,5 głęboka, 2 m. szeroka i około 1,25 m. wysoka, jest celą Dalibora; ma ona okno zakratowane w grubości muru (tu grubego do 3 met.); przez okno to dźwięk muzyki czarował prażan. Cella D, podobnych wymiarów jak poprzednia, ma już tylko małą szczelinę zamiast okna. Cella F jest całkiem ciemna. Ale oto gdy zachodziła potrzeba, aby skazaniec umarł bez śladów gwałtownej śmierci, sadzano go w celi E — cella ta, 1,25 m. wysoka, ma urządzenie takie, że po rozpaleniu ognia na ognisku na zewnątrz wypełnia się dymem i sprowadza pożądaną śmierć. Ale średniowiecze znało i „śmierć głodową“ więźnia. Opuszczano go wtedy do lochu I, 10 metrów wysokiego; w lochu tym mógł się

udusić z braku powietrza i „za prędko“ umrzeć, więc architekt dał otwór H, tak obmyślony, by doprowadzał powietrze a tamował światło. Zamknięty w zupełnej ciemności więzień, gdy był nieostrożny, mógł łatwo wpaść przez otwór G do lochu K, 3 m. wysokiego — tu panowała śmierć i cisza. Z tego lochu K nikt już żywy nie wychodził, a umarły gnął w nim spokojnie.

*

Typowe te więzienia średniowieczne, (całkiem podobne widziałem w zamku św. Anioła w Rzymie więzienia, ongi papieskie) zamknięte są w wieży, którą w rysunku podaję. Obecnie jednak drzewa zakrywają dolne części murów i wież Hradczyna z tej strony. Baszta okrągła to „daliborka“, czworoboczna w głębi to „czarna“ wieża.



rys. M. Wawrzyniowski.

PLAN WIEŻY „DALIBORKI“



i plany miast z XVII stulecia, dające mniej lub więcej dokładne pojęcie o wyglądzie, sposobie zabudowania i fortyfikowania główniejszych miast polskich. Trzynaćście miast z dzieła Brauna „Civitates orbis terrarum“, oraz dwa z dzieła Puffendorfa „Thaten Gustavs Königs in Schweden“ zasługują na główną uwagę. W późniejszych zaś sztychach i litografiach, wykonanych przez polskich i obcych autorów z końca XVIII, a głównie z początku XIX wieku, najczęściej spotykają się widoki Krakowa, Warszawy, Wilna, Gdańska, Kazimierza, oraz całe serje widoków różnych okolic.

Bujnie rozwinęła się w Polsce litografia i akwaforta dopiero na przełomie XVIII i w początkach XIX wieku, a jakkolwiek nazwiska obce trzymają prym, przynajmniej pod względem jakościowym, nie brak jednak doskonałych polskich artystów, że wymienię tylko Orłowskiego, Oleszczyńskiego, Kielesińskiego, a nade wszystko nieporównanego Daniela Chodowieckiego, który zresztą raczej z pochodzenia i nazwiska, niż z charakteru jego sztuki, do Polaków zaliczony być winien. Nie wymieniając wszystkich, ominąć jednak nie można Norblina, którego liczne akwaforty, inspirowane sztuką Rembrandta, należą do najlepszych prac graficznych w Polsce. Jedną z górnych sal domu Baryczków zajmują Polonica, dopełniające kolekcję rycin polskich, udostępnioną dla publiczności, a wyczekującą swego historyka.

Grafika polska, podobnie jak nasza architektura i malarstwo, ujawnia ciągłą i nierozrwalną łączność sztuki polskiej z zachodem. Najstarsze drzeworyty wykazują wpływy niemieckie, t. j. wpływy kraju, gdzie Dürer, Schongauer, Altdorfer doprowadzili sztukę tę do doskonałości. Miedziorytnictwo zaś zależne jest przeważnie od wpływów holenderskich i francuskich, które trwają długo, bo aż do Norblina i Orłowskiego. W Polonicach spotyka się całszereg doskonałych sztychów obcych, między którymi wyróżnia się portret Jana Andrzeja Morstina, rytowany przez J. Edelincka, portrety Augusta II i Augusta III, Ma-

ry Leszczyńskiej przez Petita, kilka sztychów angielskich i portrety rytowane przez Pichlera podług Grassiego. Jeżeli liczny zastęp obcych rytowników pracował w Polsce lub dla Polski, to z drugiej strony Polska odwzajemniła się sztycharzami tej miary co Ziarnko, Falck i Chodowiecki. Wystawa omawianego zbioru przyczyni się, być może, do większego umiłowania grafiki, wskazując na wielką tradycję tej nieco zaniedbanej u nas sztuki.

*

Wspomnieć jeszcze należy o samym charakterze zbioru, który odbija dodatnio od licznych amatorskich kolekcji, gromadzonych bezładnie lub przepelnionych jednogatunkowymi okazami, częstokroć wątpliwej wartości. Zbiór p. Witke-Jeżewskiego jest pod każdym względem wzorowy; posiada też pierwszorzędą wartość muzealną i dydaktyczną. Nietylko szczerze zamiłowanie, lecz teoretyczne wykształcenie oraz wyszkolony krytycyzm właściciela przyczynił się do postawienia zbioru na stopie retrospektywnej wystawy rytownictwa polskiego. Systematyczność, z jaką zbiór ten gromadzony być musiał, przejawia się w zupełnym braku przypadkowości. Albowiem nie jest to przypadkiem, że Chodowiecki reprezentowany jest znacznie słabiej niż Falck, gdyż ten ostatni jest nam bliższy, jest z historią Polski bardziej związany niż wynarodowiony Chodowiecki, czerpiący tematy z życia niemieckiego mieszczaństwa. Również celowy i systematycznie zebrany jest dział „Polonica“, ilustrujący stosunki Polaków z artystami obcymi, a jednocześnie pozwalający na porównanie naszego sztycharstwa z ob-



GRODNO Z XVI W., PG. BRAUNA „CIVITATES ORBIS TERRARUM“.

cem. Porównanie takie nie wypadnie niestety na naszą korzyść. Oddając Niemcom Chodowieckiego z tej samej racji, z jakiej adoptujemy Norblina, pozostaje nam właściwie tylko Stwosz i Falck, tylko oni albowiem stanąć mogą w jednym rzędzie obok najlepszych rytowników zachodu. Między Falckiem a końcem XVIII wieku niema w Polsce rodzimych talentów wybitnych, są tylko kontynuatorzy i naśladowcy, pozbawieni własnej indywidualności i własnej szkoły. Nawet początek XIX stulecia, wykazując długi szereg rytowników polskich, nie

stworzył wybitnie narodowych cech grafiki polskiej. Zajmując stanowisko obiektywne, trudno jest zaprzeczyć, iż rytownictwo polskie cierpiało na brak samodzielności. Zbiór omawiany ma właśnie tę zaletę, że daje możliwość wniknięcia w całokształt polskiego artystycznego dorobku na tem polu, a jako taki posiada wartość dokumentu historii kultury¹⁾.

¹⁾ Opisywał go w „Ziemi” 1912 r. szeroko i szczegółowo p. M. Federowski.



Nora Walicka.

P O Ł Ą G A.

4)

Na taką przystań składa się kilkanaście łodzi, własności prywatnej rybaków; łodzie takie każdy rybak umie sam sobie zbudować, po

ukończeniu oblewając smołą. Na świeże łodzie wabi się wyłącznie zwierzę morskie — delfin. Płyne on, wabiony zapachem świe-



Z OKOLIC POŁĄGI. SIECI I PRZYRZĄDY RYBACKIE.

fol. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

żej smoły, za łodzią, a wtedy wbija się w zaciągnięte sieci. Tłuszcz jego służy do przepajania skór i płócien, żeby je uczynić nieprzemakalnemi. Mięso, przypominające wieprzowe, bywa jadane, jakkolwiek niechętnie. Delfin dochodzi do czterech metrów długości. Na przystani znajduje się pierwotne urządzenie do suszenia sieci i żagli. Sieci jest niejeden rodzaj, zależy od tego, na jaką rybę przeznaczona. Najpiękniej przedstawiają się sieci na śledzie; w chwili, gdy schną poruszane wiatrem, przypominają jakieś subtelne włosy blond na tle lazurowego morza i nieba. Bo tu wszystko, w dzień pogodny, jest lazurowe: morze, niebo, powietrze — refleksy tego bezbrzeżnego błękitu zatapiają piasek śmietankowej białości, kładą się na oddalone i błyszczące wśród drzew dachy. Około sieci kilkanaście chatek niezamieszkałych, bez okien, krytych czubato słomą, służących za skład do drobnych przyborów rybołówstwa. Gdy łódź czarna ze śnieżnej białości żagle w słońcu ukaże się na morzu, ma się wrażenie, że wśród lazurów polatuje gołąb.

W cisze wielkie morze wygładza się jak lustro, a wtedy łódź, żagle i białe mewy odbijają się w wodzie uroczo, słowa i pieśni niosą się daleko; powietrze jest przejrzyste a na północy ukazują się mgliste, ciemno-błękitne kontury ga-

jów i drzew w Budingshofie, gdzie stoi najbliższa od Połagi latarnia morska. Gdy zmierzchn zapadnie, a jest ciągle tak przejrzyste, widzi się błyskającą raz w raz rytmicznie gwiazdę morza: latarnię morską. Do Budingshofu jest 13 wiorst; bywa, że wzrok ludzki sięga o dziesięć mil, a wtedy dojrzeć można latarnię morską w Lipawie, ale to rzadziej i ani w miesiące letnie zbyt upalne, bo wtedy opar liliowy stoi o zmierzchu na horyzoncie morza, ani w lata wilgotne, gdy zbyt wiele chmur i mgły kryje się pod linią horyzontu. Morze bywa zielone „vert de bouteille“ i szmaragdowe i tak bladoniebieskie mieniące, jakby ktoś w lazur kropkę mleka wpuścił, albo jak atlas, z odcieniem złotawo-brązowym lub ciemno-granatowe z runem krótkich wyraźnych fal, całych w pianie, które tęczowo igrają pryzmatami ze słońcem. Bywa bławatkowe lub szarozielone albo szarozółte, ziemiste; wtedy jest niskie i dosyć ciche. Czasem całe zwelnione, niebios sięga na widnokregu, czasem blade, białoszare, wklęsłe, niskie, zda się, że wody brak; to znów lazurowe jak niebo letnie; wtedy o południu krzesze miriady iskier pod słońce, wyglądających z brzegu jak srebrna, żywa łuska karpia, a dalej jak iskry najpiękniejszych brylantów. Nocą w pełnię księżycowe w sierpniu szpady srebrne ply-





LOTYSZE Z POD POŁĄGI.

tot. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

na po wodzie, a fala je łamie, to znów słup świetlisty mży tajemniczo z pod samego księżycyca do stóp patrzącego.

Najbliższą wioską rybacką są Poliwgiry, później Wanagi (Wanagupie), Kunigiszki t. j. księżęce). Nad samym brzegiem jest ława piaszczysta tak zwana „plaża“, czyli najbliższe wybrzeże morskie. Jest to bursztynowe wybrzeże, tu tylko bursztyny wyrzuca fala. Dalej wydmy, niesłusznie zwane „diunami“, bo po niemiecku „dünen“; są to wędrowne piaski, istniejące w okolicach Połagi tylko w bardzo małej ilości. Na wydmach, czyli żdżarach, rośnie prześliczna, również błękitnawa trawa morska wydmuchrzyca, ostra z jednej a gładka z drugiej strony i zakończona żółtawym kolcem; wydaje kłos trochę podobny do pszenicznego; wskutek zaludnienia wybrzeża zanika, rośnie dziko na miejscach, ludzką nogą nietkniętych. Najpiękniejszą rośliną nadmorską jest łoza wonna, która również zanika skutkiem braku poszanowania. Pokrywa się ona barwikiem niebieskim na gałązkach karmazynowych, ścierającym się jak na śliwce węgierce za łada dotknięciem. Gdy słońce przygrzeje, z łozy tej wydziela się nieuchwytny

zapach przędzy, do niczego porównać się nie dający; ma się wrażenie, że to powietrze tak pachnie. Do zapachów nadmorskich należy zaliczyć woń ciepłego piasku, woń ostrą wodorostów morskich, zawierających duży procent jodu, woń południowego wiatru, gdyż północny jest zimny jak stal i bezwonny, coraz rzadszą już woń rozpylonej w słońcu żywicy i miły zapach lniczywonnej (*Linaria odorata*), rosnącej na szczerym piasku, a pachnącej fijołkami. Barwa pejzażu jest akwarelowa; morze zmienne, w którym przeważają roztwory błękitów; niebo noszące na sobie złoto, seledyn i purpurę o zachodach; ciemny pas granatowy przymglony lasów, góry Biruty i kurhanu holenderskiego (holenderska czapka albo szwedzki kapelusz—mogła poległych), a środkiem tego śmietankowej barwy łachy suchego piasku i wydm, i przyćmione barwy wilgotnego piasku, który pokrywa się haftem czarnych porostów, wstęgą zębatą srebrnego stalowo-niebieskiego próchna tartych muszli i karminowym szlakiem morskiego kwarcowego żwirku. W tem wszystkim

ważne oko spostrzeże w słońcu migające iskierki brylancików: to nieuchwytnie żdźbła miki tak się palą. W r. 1896 zdarzył się fenomen w kolorycie wody: morze przedstawiało się jak średniowieczny pas z tęczy ze wszystkimi odcieniami pomarańczowo-różowych i żółto-fioletowych półtonów. Kto tylko był w owej chwili nad morzem, każdy zdumiony zapatrzył się na rzadkie zjawisko. Trwało to krótko i minęło jak złudzenie.

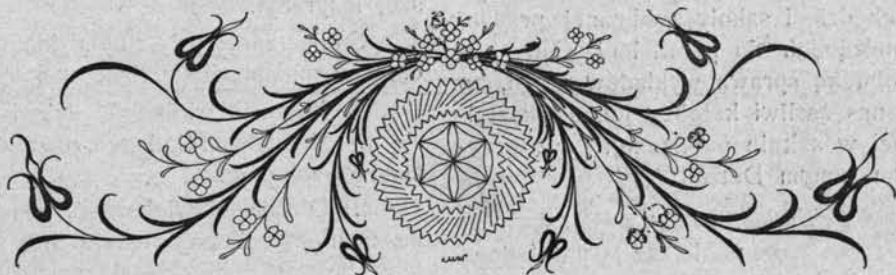
Do roku 1895 przestrzeń, dzisiaj przez prywatny park Fel. hr. Tyszkiewicza zajęta, pokrywał las sosnowy, nietknięty siekierą od czasów niepamiętnych. Znajdowały się w nim niebotyczne śmigłe sosny, chwiejne u szczytu i jak palmy ukoronowane wysoko chmurą zieleni. Były też i sosny niezmiernej objętości, po trzy-sta lat liczące, krępe, baldachowate przedstawicielki północnych sosen bałtyckich. W głębi pięknego, malowniczymi polanami urozmaiconego lasu, przerosłego koronkową paprocią, gęstymi zagajnikami pachnących malin leśnych, gdzie w ukrytych w trawie ruczajach kwitła prześliczna, o białawym aksamitnym półkwiecie jak z czarodziejskiej bajki *Calla palustris* (czermień), stała i dotąd stoi, lecz w innem otoczeniu, góra Bi-

rutę. Jest to wzgórze historycznie stwierdzonego miejsca, na którym płonął wieczny ogień pogańskiej Żmudzi. Na jego miejscu postawiono najpierw krzyż, później drewnianą kapliczkę, a w r. 1868 wymurowano staraniem jednego z połągowskich proboszczów kaplicę taką, jaką dzisiaj oglądać możemy. Bywała tu odprawiana msza św., co przy szmerze fal, w słońcu na szczycie wzgórza, nabierało niepowszedniego uroku. Zwykle pod dozorem parafii będąca ta góra wraz z kaplicą, z chwilą wystawienia pałacu w pobliżu góry w roku 1899, weszła pod opiekę domową i stała się integralną częścią parku. Po zbudowaniu przy pałacu kaplicy w r. 1909 msza została tam do niej przeniesiona.

U stóp góry majster Francuz zrobił sztuczną grotę z kamieni polnych na sztabach żelaznych, pokrywając to wszystko papką, naśladowującą skałę. Stała więc na północnym sto-

ku góry wydrążona grotka, naśladowująca grotę w Lourdes. Grotę tę, teraz nieco przez wpływ atmosferyczną zmienioną, publiczność często bierze za ruiny zamku Kiejstuta. Zamek Kiejstuta, wedle podania, stał w pobliżym miejscu, w którym obecnie pałac. Góra nie jest bynajmniej grobem księżnej Biruty, żony Kiejstutowej: grób jej ma się znajdować gdzieś w pobliżu, gdzie zaś niewiadomo. Dworzec Kiejstuta był prawdopodobnie z kłód drzewa stawiany, jak przeważnie w średniowieczu litewskich panów zamki, przeto śladu po nim nie pozostało. Las dokoła Biruty był uważany za święty gaj. Niewolno było tam z siekierą iść, obecny właściciel nie mógł dostać drwali, wszyscy Żmudzini odmówili. Myśleli zapewne, iż tym sposobem unikną grzechu i ocala las. Jednakże drwale zostali powołani z Prus, a ci już tego skrupułu nie mieli. Wiele było lamentu a nawet pogroźek i przekleństw, gdy pierwsze sosny zaczęły padać.

G. D. N.



Al. Janowski.

Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych. ⁶⁾

VI. Dzieci polskie w szkole publicznej.

Jakkolwiek Stany Zjednoczone nie posiadają ministerium oświaty, a sprawa edukacji młodego pokolenia pozostawiona jest autonomicznym rządóm poszczególnych stanów, wyrobił się pewien ogólny typ szkoły w całej Unii. Edukacja zaczyna się od ochronki, gdzie przyjmują dzieci od lat 3.

Szkoła elementarna bierze dzieci w 6 roku życia na cztery lata do „Primary“, stąd na następne cztery lata idą do „Grammar“, a po niej następuje znów cztery lata w „High School“. To jest wykształcenie średnie, odpowiada mniej więcej naszym sześciu klasom szkoły średniej, dziecko kończy je, mając lat 18.

Dalszą edukację prowadzi „College“, które jest jak nasza 7, 8 kl. i pierwszy rok uniwer-

sytetu. Po skończeniu „College“ idzie się dopiero na uniwersytety.

Szkoła nie tyle stara się o ogólne wykształcenie dziecka, jak to jest u nas, ile o możliwie dobre przygotowanie go do praktycznego życia. W sobotę lekcyi niema, dużo czasu zabierają sporty. Religii w szkole nie wykłada się.

Ten ostatni wzgląd skłania gorliwsze gminy do zakładania szkół parafialnych, gdzie obok programu szkoły publicznej uczą się dzieci religii i języka macierzystego.

Najwięcej szkół prywatnych utrzymują parafie katolickie, a wśród nich specjalnie polskie. Szkoły te nie posiadają nauczycieli świeckich, lecz nauka prowadzona jest przez proboszcza, wikarego i siostry zakonne różnych zgromadzeń.

Komisyja imigracyjna zbadała sprawy szkol-

ne 37 miast, gdzie uczyło się w czasie badań w szkołach publicznych 1,815,217 dzieci, w czem polskich było 25,225 (niemieckich 211,460, żydowskich 272,457, włoskich 115,149). Naszych dzieci było w Chicago 7,463, w Buffalo 4,687, Cleveland 1,352, Detroit 1,284, New Yorku 2,812, w innych dużo mniej. W Buffalo nasze dzieci stanowią prawie 10%, w Shenandrah 17,7% uczących się w szkołach publicznych.

Jednakże rozpatrując stopień pobieranego wykształcenia, widać, że polskie dzieci otrzymują tylko najelementarniejszą naukę, bo na 100 ich przypada: w ochronkach 5,8%, w Primary 72,6, w Grammar 20,0, w High School 1,6 (Szkoci mają w High School 9,7%, Kanaadyjczycy 10,3, Żydzi 7,8, Irlandczycy 6,9%).

Duży procent naszych dzieci kończy właśnie parafialne, początkowe szkoły i idzie zarobkować, by dopomóc w domu. Nie wydaje się to niezbędną, lecz wynika bodaj z niskiego jeszcze stopnia kultury rodziców.

Charakterystyczne jest bardzo to ciążenie do szkoły parafialnej, tak np. w Detroit na 1,284 naszych dzieci szkoły publicznej przypada 5,456 chodzących do parafialnej. Nie jest tu jedyną pobudką sprawa wykładów religii, bo niemniej od nas żarliwi katolicy jednak kształcą swe dzieci w szkole publicznej, gdyż przypadało w tym samym Detroit:

	szkoły publiczne	szkoły parafialne
Czesi i Morawianie	292	61
Włosi północni	420	109
Włosi południowi	215	159
Irlandczycy	694	584

Nawet więc gorliwi Irlandczycy przeszło połowę swych dzieci oddają do szkoły publicznej.

Baltimore wykazuje polskich dzieci w szkole publicznej 383, a w parafialnej 1,076, w tem samem mieście żarliwi Litwini mają 234 dzieci w szkole publicznej, a 28 w parafialnej.

Do szkół parafialnych uczęszcza naszej dziatwy:

w Baltimore	1,076
„ Detroit	5,456
„ Milwaukee	1,979
„ New-Yorku	1,742
„ Filadelfii	1,840

Niezmiernie mało garną się Polacy do wykształcenia wyższego. Na paromilionową grupę naszej ludności w 1908 roku studyowało zaledwie:

w „College“	mężcz.	49	kobiet	2
na inżynierii	„	11	„	1
„ medycynie	„	18	„	1
„ prawie	„	13	„	—
„ farmacyi	„	14	„	2
„ teologii	„	15	„	—
„ dentystyce	„	2	„	—
„ weterynaryi	„	—	„	—
Ogółem mężcz.		122	kobiet	6

Jeżeli od tego odciągnie się teologów, oraz studentów z różnych „College“ specjalnych, jak np. Holy Ghost College, Loyola College, St. Mary's College, S. Ignatius College, stanowiących razem około 50 osób, to zostanie na owe milionowe rzesze zaledwie maleńka garsteczka, jakieś 80 osób, które zupełnie nie zważą na ogólnej średniej poziomu wykształceniowego naszej imigracji.

Snując materyały z omawianego działu, wyciągnąć można następujące wnioski:

1) Znaczna większość dzieci polskich uczy się w szkołach parafialnych, prowadzonych przez siostry zakonne.

2) Olbrzymia większość, bo trzy czwarte naszych dzieci poprzestaje na wykształceniu początkowym, odpowiadającym „Primary“.

3) Niesłychanie słaby jest prąd do kształcenia się wyższego, który wybitnie się zaznacza wśród rosyjskich Żydów i Niemców.

Dążenie do szkoły parafialnej, obok uczucia religijności, wynika niewątpliwie z instynktownego, bo niewyrozumowanego poczucia narodowościowego.

Rezultaty jednak pracy szkolnej nie mogą przewyciężyć wpływu amerykanizacji, otaczających dziecko w życiu codziennem. Najpotężniejszą ostoją byłoby wytworzenie dzielnej inteligencji polskiej, nie tej z rozbitków „starokrajskich“, lecz z młodego, ludowego, zdrowego pokolenia; jednak ubogi i ciemny nasz robotnik na razie na to zdobyć się nie potrafi, gdy zaś dojrzeje o tyle, by rzecz zrozumieć, już jego potomkowie będą patriotami gwiazdowego sztandaru.

C. D. N.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



znawczego.

We środę d. 3 b. m. w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się pod przewodnictwem prezesa Kazimierza Kulwiecia ostatnie przedwakacyjne zebranie miesięczne Polskiego Towarzystwa Krajo-

znawczego. Przewodniczący zdał sprawę z czynności Towarzystwa w ubiegłym miesiącu komunikując, że:

Komisja Fizyograficzna odbyła dwa posiedzenia, na których przyznano na studia naukowe 475 rb. następującym osobom: St. Krukowskiemu, St. Lenciewiczowi, M. Rzewuskiej i B. Piłsudzkemu, oraz Oddziałowi Kaliskiemu Polsk. Tow. Krajoznawczego na założenie stacji meteorologicznej w Kaliszu.

P. Ludwika Sawickiego delegowano na Wołyń do pomocy p. K. Stolyhwie przy badaniach archeologicznych.

Prezes Tow. K. Kulwiec i członek Zarządu K. Sławiński wizytowali Oddział Ostrołęcki.

W czerwcu przybywa z Aweryki do Europy prof. H. Bowden (ze Springfield) w celu zwiedzenia Polski i Rosyi. Między innymi będzie on w Rydze, Lipawie, Petersburgu, Kijowie, Moskwie, Wilnie, Warszawie, Krakowie i Zakopanem.

Zarząd zawiadomił o tem swych członków korespondentów, polecając im okazanie prof. B. — prawdziwemu przyjacielowi Polaków — wszelkiej pomocy i ułatwień. Prof. B. ma na widoku przedewszystkiem poznanie naszej gospodarki miast.

Ładnych rzeczy się u nas „naucz”!

W pierwszych dniach maja odbył się w Krakowie zjazd balneologiczno-turystyczny, na którym wiceprezes Tow. prof. M. Wisznicki wygłosił referat „O znaczeniu społecznym wycieczek krajoznawczych”.

Szkoda, że poza reprezentantem Tow. Krajoznawczego nikt więcej z zaboru rosyjskiego ani pruskiego w zjeździe tym nie brał udziału.

Zalegalizowano nowy Oddział Tow. w Sandomierzu.

Jako założyciele odpowiedni akt podpisali: ks. kanonik Józef Rokoszny, ks. Władysław Chrzanowski, pp. Marya Skorupska, Helena Chodakowska, Henryk Sosnkowski i Sylwester Więckowski.

Nowych członków przyjęto 35 (od początku roku — 251), wykreślono — 4.

Nowych członków-korespondentów mianowano: w Rydze — Kazimierza Kiersnowskiego, w Kofskich St. Malanowicza, w Zawierciu Tadeusza Osuchowskiego i w Krasnymstawie — Henryka Warholowicza.

Kończąc sprawozdanie swe, prezes przypomniał zebranym odezwę w sprawie gromadzenia fotografii i rysunków z kaplic i krzyży przydrożnych, oraz wezwał do wypełnienia ankiety Komisji wycieczkowej.

P. Tadeusz Koszutski zdał sprawę z ruchu wycieczkowego za ubiegły miesiąc i zapowiedział szereg wycieczek czerwcowych i wakacyjnych, poczem

p. Tadeusz Kołodziejczyk z Krakowa wygłosił odczyt „O historii szaty roślinnej w Polsce”.

+ Wycieczka na Kurpie, organizowana staraniem Polskiego Tow. Krajoznawczego, odbędzie się od 6-go do 12-go lipca włącznie pod przewodnictwem p. Adama Chętnika.

Punkt zborny na dworcu Petersburskim (Praga) w poniedziałek 6 lipca o godz. 7.45 rano.

Wycieczka zwiedzi miejscowości i okolice: Ostrołęki, Łomży, Jednaczewa, Mątwy, Szablaku, Nowogrodu, Morgownik, Ptaków, Serwatk, Dobrego lasu, Turośli, Serafina, Kuziów, Lipnik, Łysech, Myszyńca, Wachu, Kadzidla, Dylewa.

Prócz działu ściśle krajoznawczego w programie wycieczki są przeprawy łódką, promem oraz jazda na tratwach, rybolówstwo niewodem na Narwi w nocy przy księżycu, miód lipcowy w pasiece, obozowisko w lesie i gotowanie obiadu przy ogniskach, zabawa wiejska z tańcami i t. p.

Zmiany w wycieczce, o ile nastąpią, będą nieznaczne. Prawie cała wycieczka odbędzie się pieszo przez łąki, lasy i piaski lotne. Uczestników może być 30. Koszt wycieczki: dla młodzieży szkolnej rb. 11; dla członków T-wa rb. 12 i dla gości rb. 14. Utrzymanie każdy na swój koszt. Z wycieczką podróżać będzie stale furmanka pod pakunki, oraz na wypadek zasłabnięcia. Marszruta piesza wynosić będzie przeciętnie 14 do 20 wiorst dziennie, ogólnie zaś pieszo przejdzie się do 120 wiorst przez 3 powiaty: łomżyński, kolneński i ostrołęcki. Powrót do Warszawy w poniedziałek 13 lipca na godz. 7-mą wiecz. Zapisy przyjmowane są w komisji wycieczkowej P. Tow. Krajozn. od godz. 6—8 wiecz. Termin zapisów do 30 czerwca r. b.

+ Piąte w r. b. miesięczne zebranie Sekcji Miłośników Gór P. Tow. Kraj. odbyło się d. 27 maja w siedzibie Tow. Miłośn. Fotograf. (Włodzimierska 7).

Porządek dzienny wypełniła pogadanka art-malarza Jana Małachowskiego „O krajobrazie tatrzańskim i życiu w Tatrach”, stanowiąca tekst do pokazywanych na ekranie przezroczy i autochromów z własnych zdjęć prelegenta. Przesuwając przed oczami zebranych długi szereg obrazów fotograficznych, odpowiednio zgrupowanych, prelegent scharakteryzował letni krajobraz tatrzański od dna dolin aż po najwyższe granie, dalej, przechodząc do człowieka, nakreślił typ współczesnego taternika w zestawieniu z typem dawniejszym, zobrazował w sposób ciekawy i najbardziej kompletny, jako czynny ich uczestnik — ćwiczenia i wyprawy ratunkowe tatrzańskiego Pogotowia Ochotniczego, wreszcie przeszedł do zimy tatrzańskiej i jej wybranego rycerza — narciarza. Zdjęcia wogóle piękne, a w dziale zimowym wprost nieporównane, wraz z zajmującym tekstem dały słuchaczom plastyczny wyraz zarówno krajobrazu jak życia tatrzańskiego, tak bogatego w skali wrażeń.

+ Z oddz. Piotrkowskiego. W kwietniu — korzystając z pobytu w Piotrkowie wycieczki łódzkiej, wysłuchano referatu kierownika jej p. Fiedlera, który barwnie opowiedział o Ojcowie i jego okolicach. Słuchaczy było tak wielu, że z trudnością pomieścić się mogli, pomimo, iż na

odczyt ten uzyskano łaskawie od Tow. Rolniczego jego salę posiedzeń. To też gdy w połowie maja afisze ogłosiły odczyt prof. S. Czerwińskiego p. t. „gwara ludowa i jej znaczenie w literaturze naszej”, Zarząd, przewidując większy jeszcze napływ publiczności, wynajął większą salę w Towarzystwie Dobroczynności dla chrześcijan. Przewidywania się sprawdziły. Odczyt, przeznaczony dla szerszych sfer, o kopieskowej zaledwie opłacie (od 5 do 20 kop.), zgromadził zwarty zastęp młodzieży, pragnącej usłyszeć swego ulubionego nauczyciela i dowiedzieć się, jak należy zbierać właściwości mowy ludowej, której znaczenie, jako źródła języka literackiego, tak wysoko podniósł prelegent. Odczyt powyższy zorganizowała Sekcja, która choć świeżo utworzona, zdołała jednak pod przewodnictwem d-ra J. Truszkowskiego zaznaczyć swoją pożyteczną działalność.

oooooooooooo

Ze stowarzyszeń.

+ Uchwałą walnego zgromadzenia, odbytego w Krakowie d. 26 kwietnia, powołany został do życia *Oddział Lwowski Kraj. Zw. Turystycznego* i rozpoczął swe czynności we własnym lokalu przy ul. Bielowskiego 6 (obok pasażu Mikolascha). Zadaniem Oddziału jest w myśl statutu współdziałanie z Wydziałem K. Z. T. w pracy nad podniesieniem turystyki i ruchu obcych w całym kraju, a specjalnie w zaniedbanej dotychczas pod tym względem jego części wschodniej. Zarząd Oddziału ukonstytuować i uzupełnić się miał dopiero w końcu maja; zarząd tymczasowy stanowili: poseł dr. Aleksander Lisiewicz, jako prezes, dr. Mieczysław Orłowicz jako sekretarz, inż. Walerjan Dzieślewski, dr. Roman Kordys i p. Stanisław Sokolowski jako członkowie. Godziny urzędowe sekretarza od godz. 11—1.

oooooooooooo

Nowe książki.

Prof. Józef Gruenberg. Mapa rozsiedlenia ludności polskiej na obszarze dawnej Rzeczypospolitej i krajów ościemnych. Lwów 1913. Podziałka 1 : 1.000.000.

Mapa ta jest owocem kilkoletniej pracy prof. szkoły realnej we Lwowie, ś. p. J. Gruenberga, który przeznaczał ją pierwotnie na (niedoszłą) wystawę etnograficzną, przed paru laty projektowaną w tem mieście. Prof. Gruenberg sam badań na miejscu nie przeprowadzał, natomiast starał się uzyskać materiał, rozrzucony po wydawnictwach specjalnych. Zarys pierwotny uzupełniał stale, wprowadzając coraz to nowe zmiany w miarę zjawiania się nowych materiałów czy opracowań. Uka-

zanie się z druku gotowej już zupełnie w r. 1912 mapy uległo pewnej zwłoce skutkiem śmierci autora, która go zaskoczyła podczas druku mapy w Wiedniu (w zakładzie kartograficznym G. Freytaga i Berndta). To też korekta została przeprowadzona już po zgonie zasłużonego pracownika.

Mapa prof. Gruenberga odznacza się dużymi rozmiarami — prawie 1½ metra w kierunku podłużnym i 1⅓ metra na wysokość. Jest ona odbita wyraźnie, dokładnie i czysto, prawie bez błędów korektorskich, wprost nieuniknionych ze względu na wykonanie w cudzoziemskiej oficynie litograficznej. Strona zewnętrzna jest bez zarzutu. Obok mapy rozsiedlenia ludności polskiej na tym samym arkuszu zostały zamieszczone u dołu trzy małe mapki specjalne, przedstawiające: podział ludności polskiej na narzecza i gwary, pochod Niemców ku ziemiom polskim, wreszcie procentowe rozmieszczenie Żydów. Nadto mamy zestawienie składu narodowościowego ludności miast na obszarze dawnej Rzeczypospolitej oraz obliczenie ludności polskiej tak w kraju, jak i na emigracyi.

Przyglądając się mapie prof. Gruenberga, odrazu spostrzeżemy, że uciekał się on do dwójakiej metody oznaczenia obszaru polskiego. Gdzie miał odpowiednie dane, tam ściśle wykreślał granicę etnograficzną, jednocześnie zaznaczając procent ludności polskiej w danym powiecie. Gdzie tych danych brakowało, tam oznaczał gęstość zaludnienia polskiego odpowiednią tonacją barwy czerwonej. Użył pięciu odcieni: do 10%, od 10 do 20%, 20 — 30%, 30 — 50% i 50 — 100%.

Istnienie szczegółowych map narodowościowych całego zaboru pruskiego, sporządzonych na podstawie urzędowych spisów ludności przez Langhousa, dało możliwość przedstawienia załamań, skrętów polsko-niemieckiej linii granicznej, jak również wysp i wysepek, nie wyłączając nawet drobnych — polskich na obszarze niemieckim, niemieckich na polskim. Przeprowadzone to zostało ze skrupulatnością. Tak samo terytorium Galicji środkowej i wschodniej, opracowane na podstawie prac Buzka i Spetta z uwzględnieniem tymczasowych danych spisu ludności 1910 r., wypadło bardzo szczegółowo, choć może nie tak przejrzysto, jak obszar kresów północno-zachodnich. Granica polsko-czeska została oznaczona dokładnie, tak samo jak i kresy polsko-słowackie w Trenczyńskim, na Orawie i na Spiszu (głównie na podstawie pracy E. Kołodziejczyka). Ale już Królestwo Polskie (bez kresów północnych i wschodnich) zostało potraktowane zupełnie odmiennie, wobec czego mamy obraz fałszywy, skutkiem narzucającego się uwarunkowania kontrastu między poszarpanem tłem polskim sąsiednich dzielnic zaboru pruskiego a dziwnie (i nieprawdźwie) jednolitą zachodnią połacią Królestwa. Wprawdzie wszędzie mamy oznaczony procent ludności polskiej danego powiatu, ale najzupełniejsze nieuwzględnienie niemieckich kolonii w Królestwie — nawet takich jak w Płockiem lub w gubernii piotrkowskiej, sprawia niekorzystne wrażenie. Tu należało oprzeć się na mapie H. Wiercińskiego: „Osiedłości niemieckie w Królestwie Polskiem w dniu 1 stycznia 1907 r.” i oznaczyć gminy o li-

cznej ludności niemieckiej, przynajmniej tam, gdzie tworzą znaczniejsze skupienia.

Kresy polsko-rusińskie Królestwa zostały przedstawione według prac Dziewulskiego i Wiercieńskiego, uwzględniających raczej stosunki wyznaniowe niż narodowościowe. Granica polsko-litewska i polsko-białoruska w Suwalszczyźnie oznaczona jest na podstawie mapki, dodanej do „Zarysu” Czyńskiego (2-gie wydanie), a opartej na książce E. Woltera: „Spiski nasjelonnych miest Suwałkskoj gubernii”. Wadą przedstawienia pogranicza polsko-litewskiego i polsko-ruskiego jest brak oznaczenia większej liczby punktów granicznych. Wskutek tego, chcąc dowiedzieć się, przez jakie miejscowości przechodzi oznaczona na mapie granica, musimy posłużyć się zestawieniem jej z jakąś inną, bardziej szczegółową mapą, co jest bardzo niedogodne.

Poważniejsze wady mapy prof. Gruenberga występują na obszarze Ukrainy prawobrzeżnej, Litwy i Białej Rusi, gdzie z małymi wyjątkami mamy tylko procentowe oznaczenie ludności polskiej. Ani w Kijowszczyźnie, ani na Wołyniu nie widzimy wcale plamek czerwonych, oznaczających osady polskie, choć procent ludności polskiej we wszystkich powiatach jest stanowczo za wysoki skutkiem utożsamiania polskości z katolicyzmem. Kolonie polskie występują na Podolu, ale jest ich tu stanowczo za mało (mniej niż w pow. płoskirowskim) — mniej niż podają chociażby „Trudy etnograficzno-statystycznej ekspedycji w zapadno-ruskiej kraj” (1872).

Wadliwość oznaczenia siedlisk ludności polskiej na Ukrainie prawobrzeżnej tłumaczy się niemal zupełnym brakiem danych, na których możnaby się oprzeć. Ale i Litwa opracowana jest nie lepiej. Już na etnograficznie-polskim obszarze gub. grodzieńskiej spotykają nas niespodzianki w zidentyfikowaniu polsko-białoruskiej granicy językowej z granicą powiatu sokólskiego z Królestwem, lub podania, jakoby powiat sokólski miał przeszło 70% ludności polskiej, gdy w białostockim (według prof. Gruenberga) jest już 48,8%, zaś w bielskim (bądź co bądź najbardziej polskim) 36,8%. Autora tłumaczy tu wprawdzie brak dokładnych źródeł, gdyż tylko co do powiatu bielskiego mógł się być oprzeć na szczegółowej pracy L. Czarkowskiego. Ale zidentyfikowanie Białorusinów-katolików z Polakami, umożliwiające podniesienie procentu Polaków w sokólskim do 70, jest błędne. Jeszcze bardziej błędne było zawierzenie informacjom Ogończyka co do gub. wileńskiej, która w mapie prof. Gruenberga została oznaczona w wielkiej części tak, jak najbardziej polskie obszary Galicji Zachodniej lub Królestwa. Niekonsekwentne zaliczanie Białorusinów-katolików do Polaków (i to nawet w Mińszczyźnie i Witebszczyźnie) pozwoliło prof. Gruenbergowi włączyć do Polski etnograficznej powiaty wileński, lidzki, nawet oszmiański, a w wilejskim i dziśnieńskim wykazać nieprawdopodobny procent ludności polskiej. Poza tem brak oznaczenia większej liczby punktów zamieszkałych prowadzi do tego, że wprost niepodobna zorientować się w tych czerwonych plamkach, które spotykamy np. w gub. kowieńskiej, a które mają oznaczać wysepki polskie. Wogóle Litwa i Białoruś zachodnia wygląda-

ją na mapie prof. Gruenberga zupełnie niewłaściwie, gdyż dobór kolorów, przedstawiający tu rozmieszczenie ludności polskiej, zupełnie nie odpowiada rzeczywistości.

Streszczając się, można powiedzieć, iż mapa prof. Gruenberga w swej części, obejmującej północno-zachodnie polacie dawnej Rzeczypospolitej, wartości naukowej nie posiada, gdy przeciwnie reszta mapy odpowiada dzisiejszemu stanowi wiadomości o rozsieleniu Polaków. Braki mapy prof. Gruenberga powinny zwrócić uwagę etnografów i krajoznawców polskich na luki w opracowaniach poszczególnych części kraju, uniemożliwiające dotychczas zupełnie ścisłe przedstawienie rozsielenia ludności polskiej.

Leon Wasilewski.

Dr. Mieczysław Orłowicz. Co zwiadać w Galicji (wskazówki dla turystów). Nakładem Krajowego Związku Turystycznego, Lwów 1914, str. 64 w 16-ce z 41 ilustracjami. Cena 60 hal.

Książeczka ta jest drugim wydaniem broszurki, która się ukazała w roku ubiegłym nakładem Akademickiego Klubu Turystycznego. Zmieniono nieco układ i wprowadzono trochę uzupełnień, jakie nasunął czas, zmieniono też przeważnie ilustracje. Możemy o niej powtórzyć to, cośmy o pierwszym wydaniu w „Ziemi” z 1813 r. pisali. Książeczka jest niewątpliwie pożyteczna, ułożona praktycznie i ze znajomością rzeczy, ale nie zastąpi przewodnika, którego opracowanie i wydanie — dla Galicji — jest sprawą niecierpiącą zwłoki.

T-t.

Marya Macieszyna. Płock w malarstwie. Wydawnictwo Tow. Naukowego Płockiego. Płock 1914, str. 27 w 16-ce. Cena 1 złoty.

Z racyi wystawy widoków Płocka art. malarza p. Wacławawa Żaboklickiego zgromadzono na czas pewien wszystkie inne znane widoki Płocka, jego krajobrazów i zabytków. Powstał w ten sposób pokaz retrospektywny, którego opisowi poświęcona jest praca p. Macieszyny. Oba pomysły — wystawy i książeczki — godne są najwyższego uznania. Oczywiście łatwiej było urządzić także wystawę w Płocku niż gdzieindziej, bo wyjątkowo piękne położenie miasta nad wielką rzeką było źródłem natchnienia długiego szeregu artystów, między którymi nie brak nazwisk w sztuce polskiej największych: Al. Gierymskiego i Gersona. Ale gdyby chciano u nas wszędzie — bodajby w skromniejszej mierze — urządzić takie wystawy krajobrazów lokalnych i utrwać je w postaci związanych, ale sumiennych i z rzeczą obeznanych — jak ten — opisów, zyskałaby na tem nie tylko nasza znajomość kraju, ale i świadome odczucie głębokiego czaru jego przyrody.

T-t.

Jakób Bojko. Spiż. Wrażenia z wycieczki do sąsiadów na Spiżu. Nakładem wydawnictwa „Przyjaciela ludu”. Kraków 1914, str. 63 z ilustracjami.

Między literaturą a ludem istnieją stosunki bardzo różnorodne a liczne. Jest głęboki, niewątpliwy

wplyw, jaki twórczość ludowa wywarła na krystalizowanie się pojęć najpotężniejszych nawet umysłów literackich w Polsce; jest mocny i niestłabnący dopływ świeżych sił z dołu do najpierwszych nieraz szeregów pracowników umysłowych; jest coraz liczniejsza, coraz głębiej sięgająca literatura dla ludu. Najślabsze liczebnie jestto, co lud sam pisze dla siebie. Nie znaczy to, żeby miało być najmniej ważnem, czy nawet najmniej ciekawem. Od polityka i socjologa zaczawszy, skończywszy na rozmilowanym w czystej sztuce estecie, każdy sięga zwykle z zaciekawieniem po te drobne druczki, niemal egzotyczne w swoim nastroju, tak inne od wszystkiego, co się w literaturze spotyka, jak innym jest mocny powiew wiatru szerokich pól od... sztucznej wentylacji.

Mieliśmy ludowe wiersze, nowele, pamiętniki, listy — nie mieliśmy jeszcze ujętych w całość notat krajoznawczych. To, co nam dał w swojej książeczce znany działacz, polityk i pisarz ludowy, jest próbą bodaj pierwszą, ze wszech miar wartą poznania i uwagi. Oczywiście nie trzeba tu szukać subtelnych analiz estetycznych, ani głębokich zmundnych studyów przedwstępnych, przygotowawczych. Mówi bardzo prosto, tak prosto, jak już mało kto z piszących po polsku potrafi, co widział na Spiżu, opowiada — wbrew wszelkim zasadom jeneralnym — z niesłychanym subiektywizmem, który tętni w każdym zdaniu, jak fala świeżej, gorącej krwi. Że umie patrzeć bystro i dostrzedz to, co mu potrzeba, czytelnik wierzy po zamknięciu książeczki, że język jego ma tęgi, pożywny smak dostalego ziarna — nie wątpi po rozsmakowaniu się w pierwszych kilku stroniczkach.

Książka może być dla wszystkich — choć w niejednakowy sposób — pożyteczna. Nawet tym, którzy „już wszystko wiedzą i wszystko widzieli“, poleca się gorąco zapamiętanie jednego z jej początkowych zdań. „Rok, w którymby się nigdzie nie

wychynął za próg rodzinnej wioski — pisze Bojko — uważalby za stracony“.

T-t.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ W galicyjskiem miasteczku Krościenku, leżącym u stóp przedcudnych Pienin, powstaje Muzeum Pienińskie, które postawiło sobie za zadanie gromadzić materiał krajoznawczy, związany z Pieninami i najbliższą okolicą. Muzeum to tworzy Oddział Pieniński Tow. Tatrzańskiego.

oooooooooooo



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ
ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



Od Administracji.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III.

TREŚĆ: *S. Matusiak* — Koń w naszych wierzeniach ludowych (c. d.). *Maryan Wawrzeniecki* — Daliborka w Pradze Czeskiej (z 2 ryc.). *A. Lauterbach* — Wystawa starych rycin (z 2 ryc.). *Nora Walicka* — Połoga (c. d.) (z 3 ryc.). *Al. Janowski* — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Wkładka: Kościół w Oliwie.

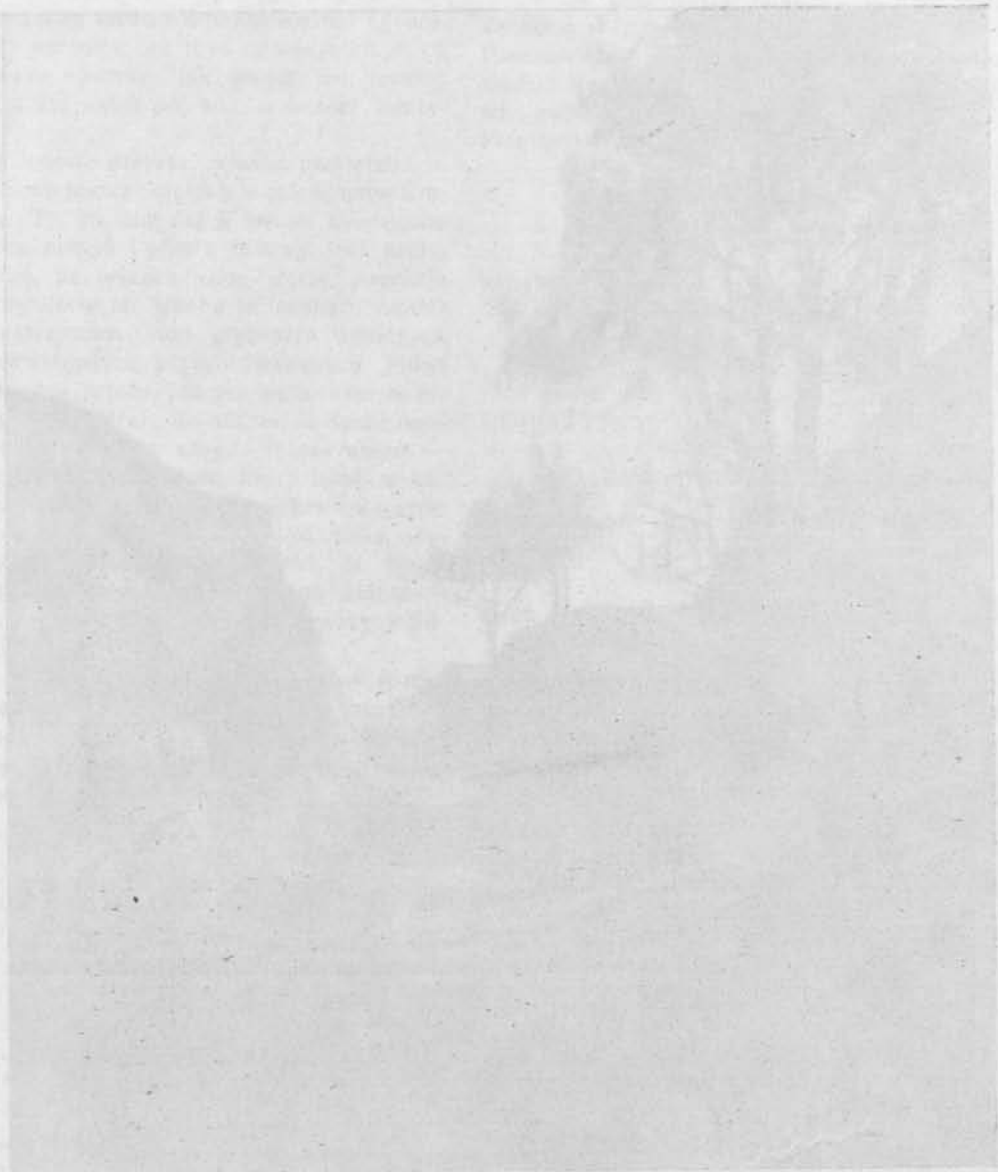
Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.



Wawóz lessowy w Wojnowicach, pow. opatowski.

fol. St. Thugutt.

Kronika krajoznawcza.



Widok z lasu w kierunku szczytu góry. W tle widać szczyt góry. W pierwszym planie widoczny jest las. W dół widać drogę lub ścieżkę. W prawym górnym rogu widoczny jest napis: 'Kronika krajoznawcza'.



Kościół pocysterski w Oliwie pod Gdańskiem.

ze zbior. Pol. Tow. Kraj.